ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 15-go Czerwca 1895. **Nr. 12.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Żeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

GABRYEL HOŁUBEK,

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Jak już na początku powieści wspomnieliśmy, wszystka młodzież wojownicza, żądna niebezpieczeństw i przygód, pragnąca użyć wojny i zaprawić swe szable na nieprzyjacielu, a często dojść do znaczenia i godności, ciągnęła na wschodnie kresy Rzeczypospolitej, bo tam zawsze była sposobność do tańcy z Tatarami, jak nazywało rycerstwo zażarte walki z pogaństwem. I pan Adam zaciągnął się z radością przed kilku laty w szeregi tej dzielnej młodzieży, nawet rotmistrzostwa się dosłużył. Nie rad też był z postanowienia ojca, który mu kazał porzucać starych towarzyszy, ożenić się i nową chorągiew formować; jednakże jako dobry i posłuszny syn postanowił na św. Michał pożegnać Dniestr na długo i wrócić do domu. Dotąd z przykrością zawsze myślał o tem pożegnaniu, o rozstaniu z przyjaciołmi, z którymi tyle niebezpieczeństw dzielił; lecz teraz wiele się zmieniło i z ciężkiem sercem wracał do umiłowanej swej chorągwi. Najpierw odebrano władzę nad wojskiem uwielbianemu wodzowi, wielkiemu hetmanowi Zamojskiemu, a potem trzeba było odjechać nie widziawszy się z młodziutką żoną, ba! nie dawszy jej nawet znać o sobie.

Owo milczenie, którem się tak trapiła Ludka nie pochodziło wcale z niepamięci lub z braku przywiązania, ale po prostu młody rotmistrz nie mógł ani sam jechać, ani miał kogo posłać do Ludmiły. Odebrawszy list od niej, który mu Kostek przywiózł, ucieszył się bardzo, że Ludka wydostała się tak gładko ze Siekierzan, i spotkawszy się na drodze z bratem, zamieszkała pod jego opieką, w rodzinnym domu. Rad byłby on przesłał jej wiadomość o sobie, lecz nie miał przez kogo. Już pierwszą nieobecność Kostka przed ojcem zaledwie wytłomaczył, jakże więc wyprawiać go znowu? Prawdy powiedzieć nie mógł, a kłamstwem się brzydził. To też teraz, gdy mu znowu przyszło ruszyć nad Dniestr, strapiony był wielce i w wigilią swego wyjazdu długo chodził po

komnacie i rozmyślał, co począć. Naraz myśl jakaś zabłysła mu w umyśle, bo uderzył się dłonią w czoło i stanął na środku pokoju, ale potem zawahał się znowu, myślał i mruczał coś do siebie, jął chodzić na nowo po izbie, podgarniał czuprynę, wąsy targał, aż w końcu zdecydował się przecież stanowczo, bo zawoławszy pół głosem:

— Tak, tak uczynię! Nie może inaczej być! Tkliwa i dobra jest jak Anioł, niechże się stanie Aniołem pocieszycielem; — siadł na całą noc do pisania.

Nazajutrz rano nadeszła chwila pożegnania pana Wojciecha z synem; rotmistrz niespokojny był o ojca i żegnał go niemal ze łzami, bo starzec wyglądał jak z krzyża zdjęty: gryzły go niepokoje w kraju, tryumf Zborowskich i martwiła niepewna przyszłość jego domu, który musiałby zupełnie upaść, gdyby kanclerza zwyciężono. Pan Adam w ostatniej chwili odjazdu, żegnając się ze sługami ojca, wziął na stronę starego, poczciwego dworzanina i wciskając mu opieczętowany pakiet, szepnął, aby na osobności oddał go Bożenie.

Niebawem dwa małe orszaki opuszczały Warszawę, pan Wojciech ze swoim dworem podążył do rodzinnego Wisłocka, a pan Adam z Kostkiem i żołnierzami prowadzącymi konie juczne i podwodowe, jechał smutny i zamyślony ku Dzikim polom, aby zdala od ukochanych bronić ojczyzny i staczać walki z dzikimi pohańcami.

Tymczasem w starym dworcu w Wisłocku nadobna Bożena wyglądała co dzień z niecierpliwością wieści o tem, co się stało w sejmie, a mianowicie powrotu ojca i brata. Pan Wojciech bowiem, tak syna jak i córkę uczył od małości miłości ojczyzny, interesowanie się tem, co kraj obchodziło i stawianie spraw publicznych przed prywatnemi. A gdy jeszcze Adama nie było w domu, stary rycerz wszystkie swoje myśli i uczucia powierzał ukochanej jedynaczce, która też z tej przyczyny, lubo dopiero dwudziestu lat dobiegała, obeznana była ze wszystkiem, co się w kraju działo; zwłaszcza iż z natury miała usposobienie poważne, spokojne.

Wielka więc zapanowała w poczerniałym dworze radość, gdy tam wreszcie pan Wojciech stanął; Bożena, oderwać się nie mogła od rąk i kolan ojca, a gdy nareszcie opanowała pierwszy wybuch radości, jęła pytać o brata i o nowiny. Opowiedział tedy pan Wojciech wszystko, co się na sejmie zdarzyło i jako Adam pojechał nad Dniestr, zkąd dopiero na jesień wróci. Smutne te wieści zmąciły radość dziewczęcia, zwłaszcza też, gdy przypatrzywszy się uważniej ojcu, spostrzegła wyraz cierpienia i zgryzoty rozlany na jego szlachetnem obliczu.

Długiej rozmowie i wynurzaniu się starego rycerza położył dopiero kres zapadający wieczór; Bożena widząc, że ojciec zmęczony i chory, wymogła na nim, że posiliwszy się nieco, udał się zaraz na spoczynek. Ona zaś udała się do domowej kapliczki, aby Panu Bogu podziękować za szczęśliwy powrót rodzica, a błagać o zdrowie i życie dla niego, o błogosławieństwo dla brata i zmiłowanie nad utrapioną niezgodą swych dzieci ziemią rodzinną.

Po gorącej modlitwie powstała Bożena ze stopni ołtarza i zwróciła się ku drzwiom, gdy w tem za filara wysunął się stary dworzanin i podając jej jakiś pakiet, rzekł tajemniczym głosem:

— Pan rotmistrz rozkazał mi oddać to waszmość pannie na osobności, co też, spełniając z ochotą zlecenie, czynię.

— Dziękuję pięknie, waćpanu — odparła Bożena z wdzięcznym uśmiechem, odbierając pakiet. — O! to pismo Adama! — dodała, rzuciwszy okiem na papier. — Jaki on dobry, że mimo powrotu pana ojca, jeszcze mię listem darzy! Dziękuję raz jeszcze waćpanu.

Tu pożegnawszy uprzejmie dworzanina, pobiegła szybko do swej sypialnej komnaty i z ciekawością rozerwała pieczątki. Ze środka wypadły dwa grube listy: jeden z adresem Bożeny, drugi zaadresowany był do jakiejś nieznanej jej osoby. Otworzywszy list pisany do siebie, jęła go prędko przebiegać oczy-

ma; ale już po przeczytaniu pierwszych wierszy upadła ciężko na krzesło, pociągnęła ręką kilka razy po zbladłej twarzy, poczem znowu czytała dalej, biorąc się raz po raz za głowę; a na jej ślicznej twarzyczce coraz widoczniejszy był przestrach. Gdy nareszcie przeczytała list cały, papier wysunął się z jej drżących rąk, któremi zasłaniając oczy, jęknęła:

— Boże, Boże! Taki cios! O mój biedny ojcze! Ale Adam, Adam, jak mógł to uczynić!

Po chwili bolesnego zamyślenia, powstała wolno, podeszła do drzwi, które starannie zamknęła na klucz; potem podniosła złowrogi list i siadłszy przy stole, czytała po raz drugi.

Całą tę noc migotało światło w oknie pokoju panny Wisłockiej, dopiero gdy pierwsze promienie wchodzącej jutrzenki rozproszyły mroki nocne, podniosła się Bożena z kolan, z twarzą uspokojoną, na której malowało się mocne postanowienie i chrześciańska rezygnacya.

W kilka tygodni po ukończeniu konwokacyi warszawskiej, już jakoś pod koniec Kwietnia, siedziała Ludka w swej najpiękniejszej komnacie przy oknie, tonąc zamyślonym wzrokiem w błękitnem przezroczu nieba. Wiosna była już blisko, czuć ją było w powietrzu, po miękkim powiewie wiatru, w jakimś niepochwytnym zapachu, który przecież upajał piersi. Wydobywająca się z ziemi trawka, nabrzmiałe pąki drzew, drobniutkie pączki stokrotek i fiołków czekały tylko orzeźwiającego deszczu wiosennego, aby zielenią i kwiatami przystroić martwą ziemię, Po cudownym lazurze nieba toczyło się wspaniałe słońce, lejąc potoki światła do izby, a leciutkie białe obłoczki mknęły szybko z południa ku północy.

Uroczy był to prawdziwie ten dzień poczynającej się wiosny; tak cudnie na Bożym świecie, cała natura zrywała się do nowego życia i wesela; lecz serce młodej kobiety przyglądającej się temu powstaniu ze snu zimowego przyrody, ścięte było mrozem niepokoju, obawy i zwątpienia o przywiązaniu Adama. Duże jej piwne oczy, otoczone były ciemnemi kołami, na twarzy ani śladu rumieńca; włosy kasztanowate nieco zburzone nad czołem, spadały w długich kędziorach na plecy, czarna zaś powłoczysta, z grubej materyi szata, oszyta u szyi białą koronkową kryzą, nadawała młodziutkiej postaci Ludmiły coś zakonnego, do czego się i poważny, niemal surowy wyraz twarzy przyczyniał.

Po komnacie, wysłanej miękkiem dywanem, przechadzał się wolno Gabryel, spoglądając raz po raz smutno na siostrę, a za każdem takiem spojrzeniem oblicze jego stawało się coraz chmurniejsze. W około panowała cisza głęboka, gdyż mieszkanie pani Adamowej wychodziło na ogród; dom też był dziś, jako w południe niedzielne prawie zupełnie pusty; słudzy się rozeszli wszyscy, prócz starej kucharki, nawet Semen pociągnął na miasto do jednego ze znajomych mieszczan na gawędkę i stary miodek, bo na młodą swoją panią, już od wielkiego żalu patrzeć nie mógł, a gdy wspominał rotmistrza, zgrzytał zębami i spluwał; natomiast coraz częściej powtarzał, patrząc na Hołubka:

— Patrzcie! patrzcie! jakto w każdym stanie są wielcy i mali, dobrzy i źli, poczciwi i urwisze! Wiedziałem ci ja o tem dawno, bo przecie kapłani zawsze tak nauczają, że w obec Boga wszyscy ludzie są sobie równi, a jeno ten wyższy, kto cnotliwy; i to mi nie nowina, że różne stany nie są ze złości ludzkiej, ale z woli Bożej, który rozmaitymi darami i łaskami obdziela dzieci swoje, ale tegom się nie spodziewał, żeby zaś taki człowiek, jak ten przezacny brat mej pani, w niskim się uchował stanie. Mój Boże! jak to stan nic nie znaczy, jeno wola człowieka. Nie ma tak niskiego stanu, w którymby oto nie można być cnotliwym, zacnym, znakomitym, a nawet wielkim. Aby się takim stać, trzeba tylko kochać Boga i ludzi, miłości własnej czyli samolubstwa się wyzbyć, a święcie spełniać swoje obowiązki. Hm! nie myślałem, że się na starość tylu nowych

rzeczy nauczę! Nie myślałem.... co nie, to nie!

Tymczasem w komnacie pani Adamowej już od dłuższego czasu panowało głuche milczenie; naraz z ócz Ludki zaczęły padać łzy gorące, wielkie jak perły; Gabryel aż drgnął cały i zbliżywszy się do siostry, chwycił jej ręce i wołał łagodnym, stłumionym przez łzy głosem:

— Pani siostro... Ludko moja jedyna!... nie płaczże, nie płacz, moja ty słodka siostrzyczko!... Żali zapomniałaś, że im niedola sroższa, tem pomoc Boża bliższa?... Ufaj siostro, miłosierdziu Bożemu, ufaj!...

— Ja ufam Bogu, Gabryelu!... i nie sarkam, boć słusznie cierpię... Ale jestem jeno słaba niewiasta, więc czasem łez i bólu pohamować nie mogę... A Adam...

— Raz ja tylko widziałem twego małżonka, pani siostro, ale dałbym głowę że to rycerz szczery jak złoto i serce ma nieobłudne. Że tak długo nie daje znać o sobie... Kto wie! co mu stanęło na przeszkodzie... Wiesz, co się w kraju dzieje,... żali nie pierwszy obowiązek...

Tu urwał Hołubek, bo do pokoju wsadziła głowę z drugiej komnaty, stara kucharka Hanula i rzekła:

— Jakaś zacna pani dopytuje się o gospodarza.

— O mnie? — spytał ze zdumieniem młody górnik i udał się ku drzwiom, zasłonięte dywanem.

Ale ledwo uchylił zasłony i próg przestąpił, dywan wysunął mu się z ręki, a Gabryel stanął, jak przygwożdżony do ziemi. Na środku komnaty, w smudze jasnego światła słonecznego, które jak roztopione złoto lało się przez dwa okna do pokoju, stało przecudne zjawisko, w niewieściej postaci. Osoba to była wysoka, gibka, powiewna, z małą główką, uginającą się pod falą włosów (takich jeszcze Hołubek nie widział) popielato srebrzystych; twarzyczka drobna, przepięknych rysów, niezwykłej była delikatności i białości, od której dziennie, ale ślicznie odbijały, krucze, aksamitne, wązkie brwi, długie, jedwabne czarne rzęsy, wielkie, ciemno-fiołkowe oczy i maleńkie purpurowe usteczka. Tak cudnej twarzy nie widział dotąd Gabryel ani we śnie, ani na jawie, ani nawet na obrazie. Zjawisko odziane było długim brązowo-złotego koloru płaszczem z pod którego wyzierała błękitna, białymi puszkami oszyta suknia, długa i obcisła, zapięta na złote guziki i podtrzymana w stanie złotym paskiem.

Hołubek spojrzał ku ramionom tej niezwykłej istoty, czy czasem skrzydeł nie ujrzy? ale nie, skrzydeł u ramion nie miała. Przetarł tedy ręką czoło, przymknął oczy i po chwili otworzył je, lecz zjawisko jeszcze stało, oblane słońcem i patrzało na niego; powiódł więc drugi raz ręką po twarzy i oczach, a gdy piękna postać i teraz nie znikła, już otwierał usta, aby wołać siostry, iżby przybiegła oglądać co się to w ich domu pokazało, aby spieszyła się, nim prześliczne zjawisko rozpłynie się w słonecznym promieniu, gdy wtem oto ono samo ozwało się z uśmiechem, wprawdzie miłym i słodkim, ale przecie zgoła ludzkim głosem:

— Wszakże jestem u Gabryela Hołubka i z nim samym mówię?

— Tak... — odparł cichym głosem młody górnik i chciał dodać: — Aniele! — lecz jakimś instynktem się powstrzymał; natomiast pomyślał powiedzieć: — mościa panno! — ale dziwnie mu się wydało do takiej przecudnej istoty mówić, jak do zwyczajnej kobiety; więc tylko powtórzył drugi raz:

— Tak, jam jest Gabryel Hołubek.

— Ja zaś jestem Bożena Wisłocka... siostra rotmistrza Adama, który mię prosił, abym poselstwo odprawiła do jego małżonki, a siostry waćpana, Ludmiły.

Ludka w drugim pokoju usłyszała ostatnie słowa i jednym skokiem była w pierwszej izbie, a z ust niebogi wydarł się tylko jeden wyraz:

— Ach!...

Lecz ileż w tym jednym wykrzykniku zawierało się uczuć! Najpierw brzmiała w nim gorąca wdzięczność

dla Pana Boga, nieopisane szczęście, szalona jakaś radość, nadzieja, ale zarazem obawa, niepokój i niecierpliwe oczekiwanie... A wtem ozwał się znowu głos panny Wisłockiej:

— Zgaduję! — zawołała — to siostra wasza Ludmiła panie Gabryelu?... A małżonka mego brata, więc moja bratowa i... siostra!

Przy ostatnich słowach Bożena wyciągnęła ręce, a Ludka rzuciła się w jej ramiona; kilka urywanych łkań wydarło



Dąbrówka nawraca księcia polskiego Mieczysława na wiarę Chrześciańską. (Obacz objaśn. rycin na str. 192.)

się z jej uciśnionej piersi i nagle osunęła się na ziemię.

Skoczył Gabryel i chwycił siostrę w objęcia, wołając przerażonym głosem:

— Ludko najdroższa!... Siostrzyczko moja najmilsza!... Ocknij się!... O Boże!

Panna Wisłocka chciała już biedz szukać wody, lecz Ludmiła wnet otwarła oczy i opierając się na ramieniu brata, mówiła śmiejąc się i płacząc razem:

— To nic! to nic!... To tak jeno ze szczęścia i radości mię zmroczyło!

A biorąc znów Bożenę w objęcia i ściskając serdecznie, mówiła szybko:

— O siostro!... bo tak mi się pozwolisz nazywać? prawda? samaś mię tak przecie nazwała! Więc siostro moja, to dziw, żem ja nie umarła ze szczęścia! Więc Adam jest w Wisłocku?... I wszakże zdrów? wesoły? szczęśliwy? Ale czemu on sam tu nie przyjechał? Przecież nie chory aby?

Bożena potrząsła tylko głową, że nie, bo Ludka nie dopuszczała jej do słowa, pytając gorączkowo dalej:

— Więc to prawda?... więc on już wyznał... i wy wiecie... i pan ojciec wasz wie?...

Bożena poprowadziła drżącą bratowę do sofy, posadziła biedaczkę na niej i sama siadając, rzekła:

— Uspokój się, Ludko kochana! Adama nie ma w Wisłocku... musiał zaraz po sejmie jechać na Podole do chorągwi; ale na jesień wróci na dobre do domu. Lecz tu oto jest od Adama list do ciebie.,. dowiesz się z niego wszystkiego. Czytaj! a ja tymczasem obaczę sobie twoje gniazdko, bo widzę, śliczne jest.

Na twarz Ludmiły wystąpiły gorące rumieńce, oczy jej płonęły niezwykłym blaskiem; w drżącej ręce trzymała list, od którego ócz nie mogła oderwać, ale jakby gwałtem przezwyciężając się, zwróciła na Bożenę oczy, pytając uprzejmie:

— Ale tyś, miła siostro, pewno zmęczona i głodna? Może po długiej drodze posiłek się przygodzi?

— Chętnie co zjem, bom bez obiadu z domu wyjechała — odparła z uśmiechem panna Wisłocka.

Ludka skierowała się ku drzwiom, ale ją brat powstrzymał.

— Uciesz się, pani siostro, tym zacnym i drogim gościem twoim — rzekł — i list od męża przeczytaj; ja zaś z Hanulą przygotuję co trzeba — i wysunął się cicho z komnaty.

Aż do swej izby szedł jak we śnie, tu dopiero przystanął i szepnął:

— Żali to być może, aby niewiasta tak cudna była?... Aby takie śliczności po tej nędznej ziemi chodziły?...

Nagle się wzdrygnął.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — przeżegnał się nabożnie, padł na kolana przed krzyżem i w gorącej modlitwie podziękował Bogu za pociechę siostrze zesłaną. Następnie udał się szybko na drugą stronę domu, do spiżarni i zawezwawszy starej kucharki, jął z jej pomocą, na srebrnej tacy, ustawiać wyborne kąski. W pierwszym pokoju, w mieszkaniu Ludki, nakryła Hanula stół białym jak śnieg obrusem i zaczęła ustawiać jednę misę za drugą, piękne talerze i kryształowe kubki.

Tymczasem Bożena przechadzając się po trzech komnatach Ludmiły, do których drzwi były jak szeroko pootwierane, nie tyle chciała, jak mówiła obejrzeć gniazdko bratowej, co raczej dać jej czas do przeczytania listu i uspokojenia się, bo spostrzegła gwałtowne wzruszenie młodej kobiety. To też więcej spoglądała na czytającą Ludkę, niż na izby, choć i to znać było, że mile ją dziwiły dostatek, zamożność i porządek wyglądające z każdego kącika; nie spodziewała się ona bowiem zastać takiego domu i takich porządków u górnika.

Dumna niemal tak jak ojciec, trapiła się Bożena okrutnie małżeństwem Adama, tak srodze niedobranem. Adam służący w wojsku na kresach, mający za towarzyszów synów mieszczan i kmieci, którzy odznaczając się nieustraszanem męztwem dosługiwali się często

szlachectwa i godności wojskowych, pozbył się nieco swej dumy; przytem kochając Ludkę z całego serca i pojąszy ją już za żonę, mało dbał teraz na jej stan niski.

Inaczej było z Bożeną: żałowała ona brata, że zawarł takie nieodpowiednie małżeństwo, ubolewała nad nieszczęśliwą przyszłością, jakiej się dla niego obawiała, lecz kochając jedynego brata niezmiernie, gotowa była przebaczyć mu najcięższą winę, a cóż dopiero przywiązanie do cnotliwego i pięknego dziewczęcia; ale za to myśl, co ojciec powie na to tajemne ożenienie się Adama, przejmowała ją nieopisaną trwogą, a zawód, jaki spotka ich sędziwego rodzica, ze strony ukochanego jedynaka, ranił kochające serce córki ciężką boleścią. Gdyby nie była miała tak dobrego serca i nie była wychowaną tak cnotliwie, po Bożemu, nie byłaby nigdy przebaczyła Ludce, że dała się nakłonić do oddania potajemnie ręki Adamowi. Musiała też przywołać na pomoc wszystkie swoje siły moralne i całą miłość dla brata, aby się zdobyć na ten przyjazd do Olkusza, uścisnąć Ludmiłę i nazwać ją siostrę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SIEDZIBA MAMONY.

W Londynie, w jednej z najbogatszych części miasta, pomiędzy wspaniałymi gmachami, wznosi się nie wysoko wcale, bo zaledwie na jedno piętro, ślepy, bo bez okien, brudny, bo okopcony dymem, kwadratowy budynek. Jeżeli nie znasz miasta, to wyminiesz go, nie zapytawszy nikogo o przeznaczenie tej czarnej niepozornej facyaty. Idziesz dalej, rozglądasz się po wspaniałościach ulic, podziwiasz ruch panujący na wybrzeżu Tamizy, ani się domyślając, że ów budynek niezwracający niczem na siebie uwagi, jest ojcem wszystkich tych olbrzymów, sprężyną wprawiającą w ruch wszystkie owe parowce, okręty, siedzibą najpotężniejszego z władzców — mamony: to bank Anglii!

Gdybyś zajrzał do jego piwnic, zdumiałbyś się na widok nagromadzonych tam skarbów. Napływają tu one ze wszystkich stron świata, budynek ten bowiem jest skarbnicą, której wszystkie lądy powierzają w depozyt swe bogactwa. Owe skrzynie i paki wyładowane w tej chwili w porcie londyńskim z amerykańskich parowców, to ładunek sztab szlachetnych metalów wydobytych z kopalni w Newadzie. Nim stempel menniczny zamieni je na monetę, nim jubiler przerobi je na klejnoty, nim puszczą się w awanturniczą podróż po świecie, przytuliskiem dla nich są piwnice banku Anglii. Czem się to dzieje?

Dzięki położeniu swemu joegraficznemu Anglia jest pośrednikiem handlowym pomiędzy Zachodem i Wschodem, a Londyn rynkiem świata. Przeszło sześćdziesiąt kolonialnych i obcych banków mają filie swoje w Londynie; prócz tego znaczna część obstalunków i wypłat uskutecznia się przez kupców i bankierów londyńskich, których pośrednictwo budzi więcej zaufania niż bezpośrednie stósunki z mniej znanemi firmami zagranicznemi. Londyn więc jest wielkim rynkiem dla każdego przedmiotu handlu, przeważnie dla srebra a zarazem miejscem wielkich międzynarodowych wypłat. Nigdzie też nie znajdziesz tak znacznych bogactw nagromadzonych w jedno miejsce.

Zaledwie parowiec z Indyi zachodnich wpłynie do londyńskiego portu, do Southampton albo do Liverpolu, i wyładuje na wybrzeże angielskie cały swój zapas klejnotów i towarów złotych lub srebrnych, bank Anglii wysyła natychmiast swoich urzędników, po odbiór tych kosztowności. Wszelkie bowiem przesyłki metalów szlachetnych z krajów zamorskich adresują się gwoli większego bez-

pieczeństwa do banku Anglii, a ztąd dopiero dostają się do rąk handlujących i ajentów. Widząc ciągnące przez City dwu lub czterokonne wozy, naładowane małemi ale ciężkiemi pakami, ani domyślasz się złożonych na nich niezmiernych skarbów, mających za chwilę spocząć w piwnicach banku angielskiego.

Piwnice te, zwane Bullion-office, znajdują się w tyle banku od Lothbury Street. Za każdem pojawieniem się wozu, otwiera się jedna z wielkich bram a dyamenty, sztaby złote i srebrne, wory z dolarami znoszą się do podziemi.

Bullion office ze swoim dachem sklepionym, kilkoma półkami i wagami, niepozorniej i smutniej jeszcze wygląda niż sama rezydencya mamony. Dopiero przybycie statku z Indyi zachodnich, rozwesela trochę posępny widok budynku. Po złożeniu bogactw w piwnicach, następuje ich ważenie, za co niewielką uiszcza się opłatę. Z piwnic wynoszą worki i sztaby; przez cały dzień słyszysz brzęk monet wysypanych na miedzianą wagę i ważonych z niesłychaną szybkością. Na liczenie naturalnie nie ma czasu.

Ale, zapyta ktoś, czy dość jest zważyć, by ocenić wartość? A nuż sztaba będzie w środku żelazna, a tylko z wierzchu pokryta cienką listwą srebra? Zapewne. Ale jest na to rada. Otóż każda sztaba, pochodząca od firmy mogącej wzniecić niejakie podejrzenie, przetapia się powtórnie. Następnie próbuje się odpowiedniemi narzędziami. Nauka postąpiła w tym kierunku tak daleko, że dość wypróbować kawałek metalu odrąbanego od sztaby, by się przekonać o wartości całej sztaby. Dopiero po sprawdzeniu w ten sposób sumienności metalu wypłaca się należność, lub wartość zapisuje na rachunek. Panowie odbierający w Bullion-office skarby z innych części świata i wyglądający jak wszyscy inni śmiertelnicy, są to kupcy lub ajenci, którzy za prowizyą lub na własny rachunek sprowadzają metale szlachetne. Nawet wielkie domy z trudnością mogą złoto i srebro nabywać lub przesyłać, operacya ta wymaga nie-



Pomysł na tablicę pamiątkową do kaplicy Loretańskiej przy kościele OO. Kapucynów w Krakowie, wykonany przez Walerego Eljasza i nagrodzony na konkursie odbytym dnia 7-go Lutego 1894. — Komitet Kościuszkowski uchwałą powziętą dnia 4-go Marca b. r. polecił ten projekt wykonać.

tylko znajomości towaru i rynku, ale nadto odpowiedniego, bezpiecznego pomieszczenia; samo pakowanie wreszcie i ekspedycya szlachetnych metali wymagają ludzi fachem się tym zajmujących.

Są kupcy w City otrzymujący i przesyłający miliony, z których nawet szeląga nie widzą. Że ajenci tego rodzaju są ludźmi nieposzlakowanej uczciwości, zbytecznie byłoby zapewniać.

Metale szlachetne obrabiają się, jak wiadomo, na klejnoty, lub wybijają na brzęczącą monetę. Nie trudno pojąć, że jeżeli dobrobyt jakiego kraju wzrasta w równej mierze z jego ludnością, to jednomyślnie wzrastać będzie potrzeba kosztownych ozdób. Zatem pójdzie zwiększanie zakupów i sprzedaży, wymagające znaczniejszej ilości pieniędzy. Dodać należy, że tak moneta jak kosztowności zużywają się powoli i potrzeba je zastępować nowemi. Dla tego to w czasach normalnych zapotrzebowanie metalów szlachetnych jest nieustające. Nie należy jednak z tego wnioskować, że większa część zakupionego w Londynie srebra przechodzi do mennicy lub fabryk. Służy ono głównie do regulowania wypłat międzynarodowych.

Jeżeli naprzykład piekarz A. dostarczał rzeźnikowi B. przez cały rok pieczywa, a ten tamtemu mięsa, jeżeli przy końcu roku przy regulacyi rachunków, okaże się, że winni są sobie jednakowe kwoty, to wymiana pieniędzy tak z jednej strony jak z drugiej byłaby zbyteczną. Przeciwnie, jeżeli będą różne, zadłużony zapłacić winien należną odeń różnicę.

Otóż ten sam stósunek zachodzi w długach międzynarodowych. Jeżeli kraj jaki dostarcza innemu węgla, bawełny i sukna, a tamten nie może wysyłać tyle bydła, zboża i wina, by wyrównać rachunek, to różnicę pokryć winien gotówką. Gotówka ta w wypłatach międzynarodowych uiszcza się w sztabach, moneta bowiem w rzadkich tylko razach ma kurs w krajach obcych. Metal w sztabach nie zużywa się prócz tego tak łatwo jak moneta, posiada bowiem mniejszą niż ta ostatnia powierzchnię.

W pierwszych siedmiu dziesiątkach lat naszego wieku używano bardzo wiele srebra do tych międzynarodowych tranzakcyj. Dziś zaprowadzono złoto. Srebro utrzymało się tylko w Indyach, Chinach i Japonii. Warto poznać powody, dla których srebro wynosi się ustawicznie do Indyj.

W Indyach żyje do 200 milionów ludzi potrzebujących znacznej ilości zdawkowej srebrnej monety i lubujących się więcej niż inne ludy w ozdobach z metali szlachetnych. Biedniejsi stroją się w srebro, bogatsi w złoto. Prócz tego mają oni brzydki zwyczaj chowania pieniędzy, których nie wydadzą, i wycofywania ich w ten sposób z obiegu. Skutkiem tego ciągły dowóz nowego srebra do tego kraju jest niezbędny. Słabość tę podzielają w Europie Włosi.

Indye są krajem błogosławionym; lud tamtejszy nie zna prawie żadnych potrzeb, o produkty europejskie głowy sobie nie łamie. Zato Europa zagląda co chwilę do jego spiżarni, łakoma na herbatę, ryż lub bawełnę. Ponieważ mieszkaniec Indyj nic za to w zamian nie bierze, potrzeba płacić mu gotówką, i to nam tłumaczy niezmierną ilość sztab srebra wędrujących z portu londyńskiego do Kalkuty lub Bombaju, by nigdy już ztamtąd nie wrócić. Większa część srebra napływającego do Anglii pochodzi z środkowej i południowej Ameryki; w ostatnich czasach dostarczyły go najwięcej kopalnie w Comstock w Newadzie.

PROŚBA ROLNIKA.

Ziemio moja ty czarna,
Ja cię wiecznie miłuję,
W łono twoje ja ziarna
Rzucam — ziarna piastuję.
Gdy deszcz wiosną poprószy,
Zrosi szare zagony,
Błogo jakoś mi w duszy,
Widzę kłosek zielony;
Kiedy w polu szeleśnie
Piękna trawka zielona,
Wspomnę, że to ja wcześnie
Dałem ziemi nasiona.
Kiedy w łonie wyrosną
Złote kłosy, wysokie,
To wspominam jak wiosną
Ryłem bruzdy głębokie.
Kiedy w polu wesoło,
Gdy łan zbożem pokryty,
Zapominam, że czoło
Pot mi rosił obfity.
Kocham, ziemio, twe dary,
Twoja hojność, szczodrota,
Daje ludziom ofiary,
Karmicielko żywota!
Kocham, ziemio, twe łono,
Ile w sercu mam siły:
Niwę twoją zieloną,
Dawne przodków mogiły.
Kocham, ziemio, twe łany,
Bo tam pracy pot wsiąka,
Ugór na łan obsiany
Nasza zmienia wciąż ręka.
Wiedzie rolnik stalony
Pług po łanie i grudzie
A nagroda — to plony
I wspomnienia po trudzie.

Lecz nieszczęścia, o ile
Los przynosił mi srogi,
Pamiętam; i te chwile,
Gdy dawałaś mi głogi....
Smutek, zawód, cierpienie
I goryczy nie mało,
Kiedy wątłe nasienie
Kamień w łonie spotkało.
Bruzdy ryłem głęboko,
Trud był moim udziałem,
I dziś niwę, wysoko
Krytą zbożem dostałem.

Ziemio! — pełna miłości,
Gdy opadną me dłonie,
Ty me ciało i kości
Przykryj, ziemio, w swem łonie,
I niech ciało i kości,
Po spoczynku, spróchnieniu,
Dadzą kiedyś w przyszłości
Nowe życie nasieniu.

OBRAZKI CZESKIEGO ODRODZENIA.

Z LISTÓW I OPOWIADAŃ EDWARDA JELINKA.

(Ciąg dalszy.)

W drugim roku istnienia »Jednoty« urządzono odczytów 100, nowych bibliotek założono 28. Do pewnej pogranicznej wsi przesłano większą liczbę modlitewników i wystarano się o harmonium, ażeby miejscowa młodzież mogła śpiewać w kościele po czesku. Zjazd, który się odbył w Szusicach, miał taki wpływ, że w tamecznej niemieckiej szkole pozostało odtąd z 200 dzieci tylko 50. Reszta dzieci, oczywiście czeskich, przeszła do szkół czeskich. Wierzbowych sadzonek rozesłano na nowo 100 tysięcy. Jednej dziewczynie z Szumawy udzielono zapomogi, ażeby wyuczyć się mogła w Ronowie koronkarstwa. Dziś dziewczyna ta sama już jest nauczycielką koronkarstwa w swej rodzinnej okolicy, co zapewnia biednej ludności nowy zarobek. W trzecim roku istnienia dała »Jednota« 196 odczytów, założyła nowe biblioteki i jednostkom, oddalonym od świata, wysyłała na swój koszt odpowiednie gazety. Dalej urządzono 10 wielkich uroczystości narodowych w rozmaitych okolicach, dla podniesienia kultury i dobrobytu ludu podarowano wielką liczbę sadzonek drzew owocowych, udzielono nowych 100,000 sadzonek wierzbowych i t. d. Rezultaty tego wszystkiego były bardzo pocieszające. Tak na przykład miała hodowla wierzby i uprawianie koszykarstwa powodzenie tak znakomite, że gdy »Jednota« 1887 r. żądała za 10,000 złr. towaru, szkoła koszykarska w Wotyniu z powodu nadmiaru zajęcia zamówieniu temu zadość uczynić nie była w stanie. W celu ułatwienia odbytu płodów przemysłu ludowego (koronki, pończochy, rzeczy tkackie, płótna, koszyki, obuwie, rzeźby góralskie, wyszywania, miód, wosk, ser i t. d.) urządzono w Pradze osobny bazar.

Ale pobieżny szkic niniejszy koniecznie dopełnić muszę dodaniem choć słów kilku o bezpośredniej walce na kresach języka czeskiego o byt narodowy, tem bardziej, gdyż i to należy do czynności takich towarzystw jako »Jednoty.«

Otóż około Strzibra (Mies) znajduje się kilka wiosek czeskich, mianowicie Sulislawa, Wranów, Sytna, Swinne i Butowa. Wioski te stanowią niby czeską wyspę w okolicy zgermanizowanej. Polacy przejeżdżający latem przez Pragę i Pilzno do wód Maryańskich (Marienbad) nierzadko miewają sposobność oglądać te okolice z okien wagonu. Na wyspie tej założyła w r. 1882 »Macierz szkolska« dla czeskich dzieci dwie czeskie szkoły. Spowodowało to między narodowcami niemieckimi wielki alarm, gdyż istniejąca szkoła niemiecka dwuklasowa odrazu zmienić się musiała na szkołę jednoklasową. Pamiętny Schulverein, widząc taki stan rzeczy, pospieszył »nacyonałom« w pomoc i założył w czeskim Wranowie niemiecką jednoklasową szkołę. Mieli więc »nacyonałowie« do dyspozycyi na gruncie czeskiej wyspy aż dwie szkoły niemieckie. Skąd jednak wziąść dzieci? Dali sobie radę. Ludność czeska bowiem czerpała zarobek swój w tych okolicach prawie wyłącznie w miejscowych kopalniach, trudniąc się górnictwem, góry ołowiane są zaś majątkiem krańcowych »nacyonałów«, ergo: górnicy czeskich wiosek jedli koniec końców chleb niemiecki. I otóż jednego dnia zawiadomiono wszystkich górników czeskich, że »kto będzie dzieci swoje posyłał do szkoły czeskiej, a nie do szkoły Schulvereinu, pozbawiony będzie zarobku i nieprzyjęty dalej do roboty!« To znaczyło położyć biednym górnikom nóż na gardło. Protesty do niczego nie doprowadzały.

Kilkunastu ojców rodzin, ulegając teroryzmowi, gwałtownie odprowadziło dzieci swoje ze szkoły czeskiej do szkoły Schulvereinu. Bo cóż miał robić stary ojciec licznej rodziny, bojący się o utratę jedynego zarobku.

Było jednak dosyć i takich górników,

którzy nie uchylili głowy i wbrew pogróżkom pozostawili dzieci swoje w szkole czeskiej, wskutek czego utracili zarobek w niemieckich fabrykach górniczych. Co robić w takim razie? W rozpaczliwem położeniu rzuciła się większość z nich na przemysł tkacki. Ze starych, posiwiałych górników stali się tkacze. Nietrudno pojąć, na jakie przeszkody z początku się narażali. Było trzeba wysłać tkackich majstrów do wiosek i uczyć dopiero górników rzemiosła tkackiego.

Lat temu kilka, wybierając się do wód Maryańskich, przejeżdżałem wózkiem przez tamte czeskie wioski. Było to bardzo wczesnym rankiem, słońce rozrzucało jasne promienie po całym kraju.., po wioskach niemieckich i czeskich. W ciepłem i spokojnem powietrzu tryumfował niby symbol świętego miru... Tymczasem wypowiedzieć Ci nie mogę, jak głębokie na mnie zrobiło wrażenie stukanie tkackich »stawów«, odzywające się z chat czeskich górnikow. Było w tem coś uroczystego, podniosłego i — przygnębiającego jednocześnie. Czy mnie ty, mój drogi, rozumiesz?!

Nadmieniłem powyżej — zdaje mi się — że z naszemi towarzystwami (spolkami) w nierozłącznem są związku nasze składki na cele narodowe. Dzięki tym składkom zrobiliśmy już dużo, zawdzięczamy im już niejednę basztę narodowego naszego bytu. W całym też kraju czeskim i morawskim spotkasz się prawie na każdym kroku z śladami składek. Wyliczyć rozmaite ich cele niepodobna. Pozwól mi tylko przypomnieć Ci, jak naród czeski uczcił pamiątkę wybornego i zasłużonego publicysty Karola Hawliczka († 1855). Zostawił on na świecie małe dziecko, córkę Zdenkę. Naród urządził na rzecz przyszłego posagu Zdenki Hawliczkówny składki... i zebrał na ten cel 35,000 złr. Prawda, że to pięknie?

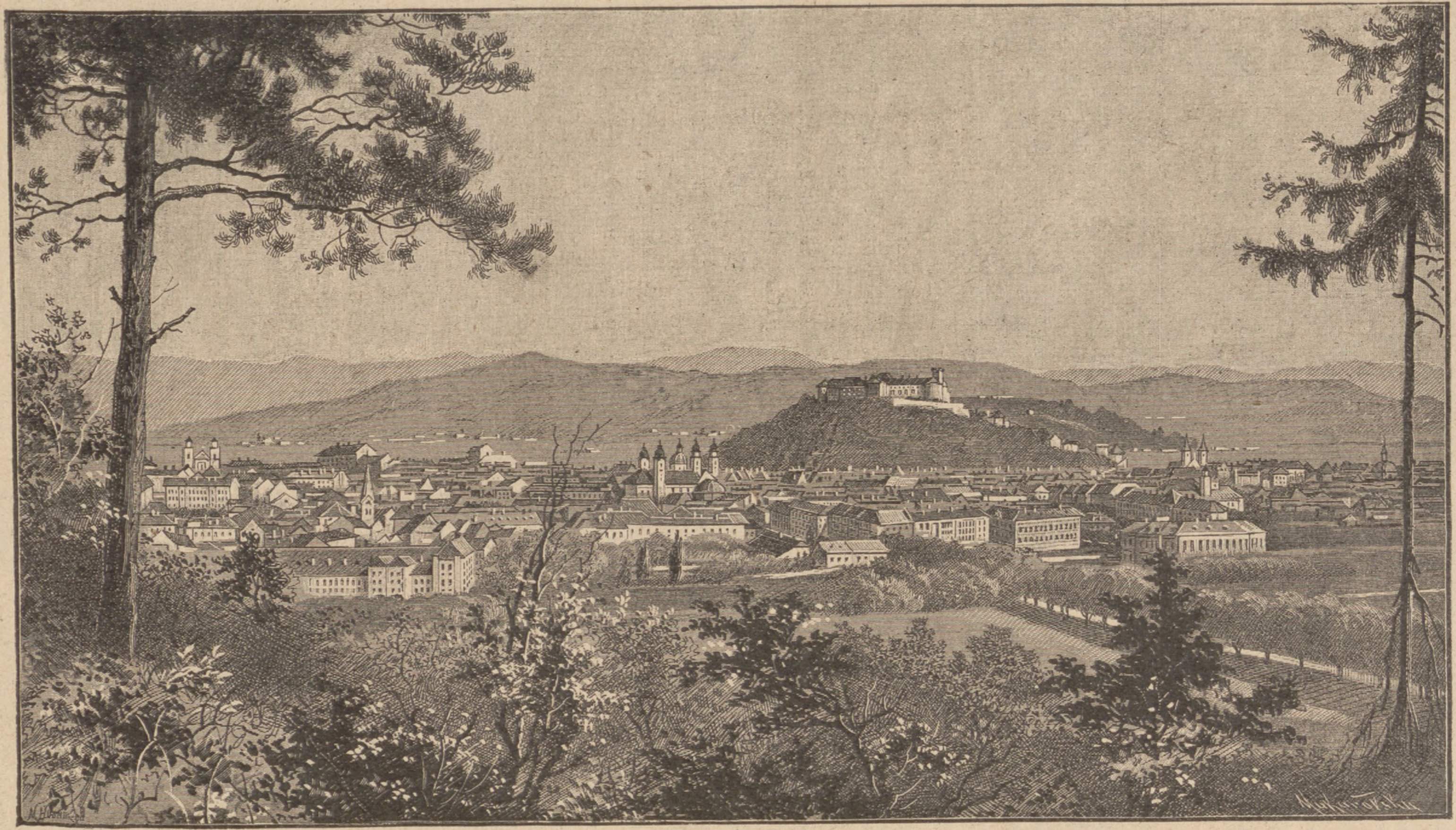
Powiesz może na to, mój kochany, jak już dużo mi mówiło Polaków, że to dla tego, że Czesi są narodem bogatym. Co się tyczy wyniku składek, dochodzących do milionów, wierzaj mi, że więcej tu robi współudział mas, niż bogactwo jednostek. Takich, co mogą rzucić na ołtarz sprawy dobra publicznego po 100,000 złr., takich mamy stosunkowo mało, lecz mamy milion ludzi, co w danej chwili położyć mogą krajcarami — jeden, dwa, trzy i czterykroć 100,000 złr., co też już nieraz się stało.

Zaraz ci dam charakterystyczny przykład, skoro dotknąłem się składek krajcarowych.

Popularna jest w całej Pradze »hospoda« czyli restauracya »U Fleku«. Tam zbierają się tłumnie czciciele Gambrynusa w wielkiej mięszaninie różnych sfer i zawodów. W republice dziennych gości »U Fleku« wcale niepodrzędne miejsce zajmował do ostatniego czasu szewc Bilek, człowiek skromny i niepokaźny. Ale szewc! Był on jednak niezmordowanym zbieraczem i orędownikiem składek narodowych, i chociaż miał tylko z krajcarami do czynienia, pochlubić się może tysiącami guldenów, które za jego pośrednictwem wpłynęły na cele publiczne czeskie. Co wieczór, jak rok długi, pojawiał się szewc Bilek między swymi druhami, chodził od stołu do stołu, zatrzymując się przy gościu i proste skinienie głowy jego wystarczało, aby odpowiedź wyraziła się datkiem. Trudno znaleść ręki, coby nie dała choćby jednego krajcara. Obszedłszy wszystkie stoły, szewc Bilek wracał na swoje miejsce i żniwo pieniężne składał po obrachunku do osobnej kasy, od której klucze mają dwaj goście.

A rezultat?

Szewc Bilek był w stanie w taki sposób złożyć na mocy uchwał gości stale bywających »U Fleku«: na rzecz teatru narodowego 1,028 złr. 10 centów, na rzecz Macierzy szkolnej 9,092 złr. 30 cent., na teatr czeski w Bernie morawskim 105 złr., na przyjęcie gości amerykańskich (którzy przybyli zwiedzić teatr narodowy) 86 złr., na pomnik kompozytora czeskiego Smetany 50 złr., na zakupno obrazu Brozika »Jan Hus« 26 złr., na wilię dla dzieci czeskich w germanizowanych miastach po 30 złr. itd. Gdy w karnawale 1886 r. urządzono w Pradze bal na rzecz wydalonych Po-



Widok miasta Lublany przed trzęsieniem ziemi. (Obacz objaśnienia rycin na str. 192.)

znańczyków, goście bawiący »U Fleku« z Bilkim na czele oświadczyli, że na rzecz Polaków tańczyć nie będą, lecz przysłali komitetowi balowemu 30 złr. z najserdeczniejszą odezwą.

Wogóle zebrano na cele narodowe »U Fleku« krajcarami do końca 1890 r. nie mniej jak 12,155 złr. 87 centów. W znanej kawiarni »Slavia« (naprzeciwko »Divadla«) zebrano takim samym mniej więcej sposobem przy bilardach dotąd 7,028 złr. 41 cent.

W WALCE Z ROZPASANYM ŻYWIOŁEM.

Zmrok zapadł, wszyscy zeszliśmy do izby ogólnej. Babetta, żona moja, siedziała pochylona i szyła w kącie przy kominie; mała córeczka moja Marysia usiadła na ziemi przed ogniem i stroiła z poważną miną lalkę; Giacomo i ja przy stoliku zajęci byliśmy rachunkami.

Okno było jakby zamurowane. Mgła, przylegając do szyb, tworzyła prawdziwą ścianę ciemności. Poza tą ścianą próżnia, świat nieznany. Tylko śród ciszy rozlegał się niewyraźny jakiś łoskot, jakiś głos donośny wypełniający ciemnicę.

Rozpuściliśmy służbę, pozostawiając tylko starą sługę Małgorzatę.

Żaden głos ludzki nie dochodził z dworu, prócz łoskotu z przepaści. Spojrzałem na żonę i dzieci; — zadrżałem. Łoskot stawał się coraz głośniejszym i dochodził do samych drzwi. W tejże chwili konie w stajni zaczęły rżeć straszliwie, a bydło w oborze stłumionym ozwało się rykiem.

Powstaliśmy wszyscy, bladzi z przerażenia. Giacomo rzucił się do drzwi i otworzył je. Fala mętnej wody wdarła się i zalała izbę.

Tak! to rzeka Adyga szalała. Ona to roznosiła ten łoskot, ciągle rosnący. Owa ściana mgły zasłoniła nam jej niespodziane wezbranie.

Często śród ostrej zimy, w porze odwilży, woda sięgała aż do drzwi naszej chaty, nigdy jednak fale nie podniosły się z taką szybkością. Przez otwarte drzwi ujrzeliśmy podwórze zamienione w jezioro. W izbie woda sięgała nam już po kostki.

Babetta porwała z ziemi Manię, która płakała przyciskając do piersi swą lalkę. Giacomo chciał wyjść by pootwierać drzwi stajni i obór, ale matka pochwyciła go za suknie, błagając by nie ruszał się z miejsca. Woda podnosiła się ciągle. Popchnąłem Babettę ku schodom.

— Prędzej, prędzej, chodźmy na górę, zawołałem i puściłem przed sobą Giacoma, chcąc się wydostać ostatni. Małgorzata wystraszona zeszła ze strychu, gdzie dotąd była. Kazałem jej usiąść w głębi izby, blizko Babetty milczącej, bladej, patrzącej błagalnie. Położyliśmy w łóżeczko Marynię, nie dała sobie odebrać lalusi; usnęła spokojnie, przyciskając ją do siebie.

Sen dziecka podnosił mnie na duchu, a kiedy ujrzałem Babetę przysłuchującą się spokojnemu oddechowi córeczki, zapomniałem o niebezpieczeństwie, nie słyszałem fali bijącej gwałtownie o ściany.

Niebezpieczeństwo nagliło do działania. Należało przedewszystkiem poznać rozmiary zalewu. Otworzyliśmy z Giacomem okno i zapuściliśmy wzrok w pomrokę nocy. Mgła gęsta rozpościerała się nad wodą, a płynący od niej deszcz drobny opryskiwał nas i dreszczem przejmował. Słabe tylko odbłyski stalowe zdradzały ów tuman ruchomy w głębi ciemności. Na dole w podwórzu fale toczyły się i rozbijały o mury. Nic nie było słychać prócz wściekłości Adygi, prócz trwogi koni i bydła. Rżenia i ryki tych biednych stworzeń rozdzierały mi duszę.

Giacomo zapytywał mnie wzrokiem: miał wielką chęć ocalić biedne zwierzęta. Niebawem jęki konania pomięszały się z okropnym rumorem: woły wyłamywały wrota obory. Widzieliśmy jak porwane borykały się z prądem wody, wreszcie znikły w rozszalałym żywiole.

Gniew mnie ogarnął; jak szalony zacisnąłem pięści i wygrażając niemi Adydze, lżyłem ją.

— Niegodziwa! — wołałem śród ogłuszającego fal zgiełku, — kochałem cię, a ty mi chudobę wydzierasz; przyszłaś mój dom obalić, dobytek mój pochłonąć. Ah maledetta! maledetta!...

Ale głos mój zamierał w łoskocie fal rzeki, roztaczającej majestatycznie swe nurty z nieubłaganą na wszystko obojętnością.

Powróciłem do izby i uścisnąłem zalaną łzami Babettę. Marynia spała uśmiechając się przez sen.

— Nie trwoż się droga — uspokajałem żonę. — Woda nie może wciąż przybierać, jest nadzieja, że wkrótce opadnie. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

— Nie ma żadnego — powtórzył gorączkowo Giacomo. — Dom trzyma się mocno.

W tej chwili stara sługa Małgorzata, którą ciekawość pociągnęła do okna, wychyliła się przez nie i spadła z krzykiem. Przyskoczyłem do okna, nie mogłem atoli wstrzymać Giacoma, który rzucił się do wody.

Małgorzata go wykołysała: przywiązał się do poczciwej staruszki jak do matki.

Przerażona pluskiem dwóch ciał, Babetta zerwała się i załamała ręce. Stała chwilę jak wryta, z rozwartemi usty, wpatrzona w okno.

Siedziałem na poręczy okna; szumiało mi w uszach od hałasu. Nie wiem jak długo pozostawaliśmy w tem odrętwieniu bolesnem, z którego ocuciło mnie wołanie. Był to głos Giacoma, czepiającego się ściany pod oknem. Podałem mu rękę i wyciągnąłem.

Babetta z mocą porwała go w objęcia. Teraz płakać mogła; to jej ulgę przyniosło.

Nie mówiliśmy o Małgorzacie. Giacomo nie śmiał powiedzieć, że znaleźć jej nie mógł, a my nie śmieliśmy pytać o skutek jego poszukiwań.

Wziął mnie na stronę i podprowadził pod okno.

— Ojcze, — rzekł półgłosem — woda wzniosła się już na trzy łokcie na podwórzu, a rzeka wciąż przybiera. Nie powinniśmy pozostawać dłużej w tym domu.

Giacomo miał słuszność. Dom się zaczynał rozpadać; przylegająca szopa była już zupełnie pod wodą, deski z niej unosiła rzeka jednę po drugiej. A i śmierć Małgorzaty ciążyła nam na sercu. Babetta błagała aby uciekać. Jedna Marynia, ułożona w dużem łożu, spała spokojnie z lalką na piersi, anielsko rozjaśniona uśmiechem.

Z każdą chwilą wzrastało niebezpieczeństwo. Woda dosięgała już poręczy okna i zalewała izbę. Słychać było uderzenia głuche, głębokie, równomierne, jakby w budynek olbrzymim walono taranem. Widocznem było, że woda się wedrze, a tu ani żywej duszy dokoła; znikąd pomocy ludzkiej!

— Każda chwila jest drogą — ozwał się Giacomo — niebawem zawaleni zostaniemy gruzami, poszukajmy desek i sporządźmy z nich tratwę.

Mówił to gorączkowo. Z pewnością wolałbym tysiąc razy znajdować się na środku rzeki, na kilku belkach powiązanych z sobą, niżeli pod dachem tego domu, grożącego lada chwila zawaleniem. Ale zkąd wziąść desek potrzebnych. Zacząłem wyrywać deski z szaf; Giacomo połamał meble; zebraliśmy wszystkie listwy, futryny, wszystkie kawałki drzewa, jakie się znalazły, a widząc niepodobieństwo zużytkowania tych odłamków na tratwę, porzuciliśmy je na środek izby, nie przestając szukać.

Traciliśmy ostatnią nadzieję; zrozumieliśmy całą naszą bezsilność wobec grozy. Woda wciąż przybierała. Chrapliwy głos Adygi przywoływał nas w nurt swój coraz natarczywiej. Wówczas wybuchłem łkaniem, przycisnąłem do piersi Babettę i błagałem Giacoma, aby

przyłączył się do nas. Mamy ginąć, to gińmy wszyscy we wspólnem objęciu. Giacomo powrócił ku oknu.

— Ojcze! — zawołał nagle jesteśmy ocaleni! Chodź i patrz!

Niebo zlitowało się nad nami. Dach zerwany z szopy, uniesiony prądem, oparł się tuż pod oknem. Szeroki na kilka metrów, był on zrobiony z cienkich desek i słomy: unosił się na wodzie i mógł nam służyć za doskonałą tratwę. Złożyłem ręce — czułem niezmierną wdzięczność dla Boga.

Przywiązawszy dach silnie, Giacomo skoczył nań i zaczął chodzić po słomie, by wypróbować jej tęgość. Strzecha okazała się mocną; mogliśmy powierzyć się jej bez obawy. (Dokończenie nastąpi).

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Dąbrówka nawraca księcia polskiego Mieczysława, na wiarę chrześciańską. Kobiety wszędzie przywiązywały się żarliwiej do nauki Chrystusa niż mężczyzni, i wszędzie wielkie około jej rozpowszechnienia położyły zasługi. Nie policzone są imiona Męczennic chrześciańskiego Rzymu; listy Ojców Kościoła, w wielkiej liczbie pisane do kobiet, świadczą wymownie, jak wiele z nich poświęcało się naukom Pisma św., cudzoziemskich języków, filozofów dawniejszych, aby mogły dokładnie zrozumieć naukę Boską i potem ją rozkrzewiać. Wiele z nich dorównało apostolską zasługą mężczyznom, a niektóre błyszczą do dziś dnia, jako przykłady dla misyonarzy. Kto w starym Rzymie najpilniej uczęszczał na nabożeństwa, za które karano śmiercią lub więzieniem? kto najgorliwiej strzegł ołtarzy i grobów? kto przechowywał w swym domu apostołów? kto z największem poświęceniem pielęgnował rannych i chorych? kto się dorobił czci tak powszechnej, że najdziksi żołdacy musieli ją okazywać? — to były wszystko kobiety. Nowa wiara wcisnęła się w szeregi barbarzyńców, przez własne ich żony i córki; nowowzniesione klasztory napełniły się dziewicami Anglo-Sasów i Franków, które poświęcały się nauce Pisma św. i szerzyły je między niewierne. Ojcowie Kościoła opiekują się niemi tak samo, jak ich poprzednicy opiekowali się Świętemi Męczennicami. Klasztory niewieście stały się najgłówniejszym przybytkiem wiary; można powiedzieć, że mało jest w Europie narodów, któreby nawrócenia swego nie miały do zawdzięczenia kobietom. Francya winna zaprowadzenie chrześciaństwa Klotyldzie, żonie Klodoweusza; za jej przykładem poszły Teodolinda, małżonka Agilulfa, św. Hermenegilda; Berta przyczyniła się do rozszerzenia nauki Boskiej w Anglii. Bulgarowie przyjęli religię Chrystusa za przewodem kobiety; siostra cesarza Henryka II. uczyniła to samo dla Węgrów; Włodzimierz ruski chrześciaństwo zawdzięcza małżonce a czeska księżniczka, Dąbrówka, kładzie za warunek ślubu Mieczysławowi przyjęcie chrześciaństwa.

Zdarzenie ostatnie stało się przedmiotem nadzwyczajnego podziwu, gdyż pierwszy raz, od czasów Wandy, kobieta zajęła miejsce tak dostojne, tak pełne istotnego znaczenia, stanowczych wpływów i władzy. Odwiodła panującego księcia od wielożeństwa, od pogaństwa, zniewoliła do przyjęcia nowej religii i zasiadła z nim wespół na tronie. Mieczysław pozostawił małżonce ster duchowej sprawy; ona to, z pomocą orszaku kapłanów, nawróciła społeczeństwo pogańskie do Chrystusowej wiary.

Lublana jest głównem miastem kraju Słoweńców, w monarchii austryackiej położonego. Ucierpiało ono bardzo skutkiem trzęsienia ziemi a częściowo zgoła zostało w ruinę zamienione. Trzęsienia ziemi, najstraszliwsze zjawiska przyrody ziemskiej, polegają na gwałtownem wstrząśnieniu skorupy ziemi. Ruch ten jest pionowy, uderzający z dołu ku górze, albo falowy; oba te rodzaje są często połączone, tak że uderzenie pionowe stanowi środek trzęsienia falowo się rozchodzącego; zdarzają się też i ruchy obrotowe, te są najgroźniejsze. Trzęsienia ziemi są bardzo częste, tak że prawie każdej chwili ziemia ulega gdzieś wstrząśnieniu; najczęstsze są w okolicach wulkanicznych. Trwanie ich wynosi zaledwie kilka sekund, a obszar obejmuje niekiedy obręb o promieniu 1,000 mil. Promień ten jednak jest różny w różnych kierunkach, tak że materyał skorupy ziemskiej ma tu wpływ przeważny. Szybkość rozchodzenia się trzęsienia wynosi 5 po 7 mil na minutę Trzęsienie ziemi bywa często poprzedzonem przez łoskot podziemny; niekiedy też występuje z niem zapadanie się i pękanie ziemi, wybuchy gazów i t. d. Na morzu woda się najpierw posuwa po za brzegi, następnie się cofa.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

SZTANDAR OCALONY.

OPOWIADANIE CHORĄŻEGO.

Mieszkańcy Bourget dobrze znali Ojca Pinard'a i jego mrukliwego pół-brytana, pół-szpica, który wcale nie był ozdobą psiego rodu. Zwierzę niewielkie, kuse, z siercią wypełzłą ze starości, wciąż warczące groźnie, jak gdyby było niezadowolnione; tak wyglądał Karo, nieodłączny towarzysz weterana z pod Solferino, Algieru i kampanii 1870 r. Karo przywędrował z Ojcem Pinard'em z Afryki i już wtedy stosunki między nimi były zażyłe, a stały się jeszcze serdeczniejszymi po wojnie z Prusakami. Osiwiały w bojach żołnierz pieścił mrukliwego kudłacza, jak najukochańsze dziecko, sobie dla niego odmawiał wygód. Sąsiedzi śmiali się ze starego dziwaka; zaprzestano jednak żartów, gdy dowiedziano się o zasługach zwierzęcia.

— Myślicie, że to zwyczajny brytan, — opowiadał Pinard, gdy nabrał humoru przy szklance wina pod »Złotym jeleniem«, — zaręczam wam, że psa takiego, jak on, niema na świecie. Do kata! przecież winienem mu życie, a jedenasty pułk strzelców zawdzięcza mu cześć swoją.

— Jak to było, Ojcze Pinard? — dopytywali sąsiedzi, wiedząc, że starzec lubi chwalić faworyta.

Wspomnienia odmładzały weterana; podnosił głowę, muskał białego wąsa, uśmiechał się i spoglądając na psa, rozpoczynał powoli, jak gdyby gwarząc z sobą:

— Afryka... wiecie, co to Afryka? Algier? żółta febra? sępy? lwy? Arabowie i murzyni? Do kata! nie życzę żadnemu z was poznania tych przyjemności Myśmy ich mieli po same uszy, ale nie było czasu na sarkanie: wobec wojny, wszystko, co z nią nie miało związku, szło na plan drugi. »Naprzód i niech żyje Francya!« to każdy z nas powtarzał, myślał tylko o tem, żeby zwyciężyć. Z początku znosiłem jako tako klimat piekielny, ale w końcu zachorowałem na żółtą febrę. Lekarz pułkowy zbadawszy mnie, ręką machnął. Zrozumiałem, co to znaczy i zapytałem: »Doktorze, więc zginę nie na polu bitwy!« — »Odwagi, Pinard! Życie ludzkie jest w ręku Boga« — Przyznam się wam, że głupio mi się zrobiło; umierać w ambulansie, bez draśnięcia, podczas gdy koledzy się biją... Bomby i granaty! to nie po żołniersku.

Nie umarłem, jak widzicie, chociaż niewiele mi się należało, a podczas rekonwalescencyi, miałem szczęście poznać mojego Karo. Psisko przybłąkało się do ambulansu, nie wiadomo zkąd, i doznało fatalnego przyjęcia. Felczer i jego pomocnicy bili zwierzę, głodzili, wypędzali je; zaopiekowałem się psem, i pozwalałem mu sypiać przy sobie. Karo widocznie rozumiał tę łaskę, bo starał się wszelkimi sposobami okazać swą wdzięczność. Kilkanaście razy uratował mnie i kolegów z kłopotu, wytrapiając zasadzkę nieprzyjacielską. Ale ważniejszego czynu dokonał w r. 1870.

Było to pomiędzy wsiami Vionville, Flavigny i Rezonville; armia nasza, pobita przez ks. Fryderyka Karola, została odparta do Mars-la-Tour. Oddział mój znalazł się odciętym, na łasce dragonów pruskich.

Ja niosłem sztandar pułku.

Walczyliśmy, jak tylko rozpacz walczyć umie, ale Prusacy mieli za sobą przewagę. Sztandar, ukochany mój sztandar, cześć pułku stanie się łupem nieprzyjaciela... Gdy o tem pomyślałem — szał mnie ogarnął: łamię drzewce, staram się ukryć chorągiew pod mundurem, ale w tej chwili padam, raniony ciężko odłamem granatu. »Karo! Karo!« zawołałem nieprzytomny, podsuwając psu drzewce z chorągwią, »weź to, ukryj, zanieś do naszych, tam...« i zemdlałem.

Co powiecie: pies zrozumiał.

Porwał drzewce i jak strzała pomknął, a chociaż dragoni puścili się za nim w pogoń i posyłali dziesiątki kul, dostał się bez szwanku do St-Privat, gdzie armia nasza się oszańcowała.

Łatwo sobie wyobrazić, jakie oczy zrobiono zobaczywszy psa ze sztandarem; a Karo, wiecie, jak postąpił? Zaniósł sztandar do sztabu i wrócił do mnie, na pole bitwy. No, czy nie mam prawa nazwać go bohaterem?

To mówiąc, Ojciec Pinard całował kudłacza a słuchacze wychylali szklanki na cześć obrońców sztandaru.

Odkąd wozy są używane?

Jednym z najdawniejszych wynalazków są wozy; świadczą o tem szczątki ich znajdowane w jeziorach, a pochodzące z epoki bronzu, kiedy ludzie budowali domy na palach, ażeby zabezpieczyć je od napadu dzikich zwierząt i nieprzyjaciół. Starożytni Assyryjczycy, Persowie, Egipcyanie i Hebrajczycy znali już nietylko dwukołowe ale i czterokołowe wozy, jak tego dowodzą pozostałe z owych czasów rzeźby i dokumenta. Na cztery tysiące lat przed naszą erą, Egipcyanie używali wozów tak w bitwach, jak do podróży lub przewożenia towarów; zaprzęgano do nich muły, konie lub woły, zdobiono złoceniami, snycerską robotą i wykładano kobiercami.

Podług greckiego podania, Erichtonios król Aten pierwszy wprowadził wóz w użycie, ukazując się w czasie igrzysk na wozie zaprzężonym w czwórkę koni; za to dostał się między gwiazdy. Greckie wozy bywały zwykle dwukołowe, ale Homer wspomina i o czterokołowych; na wojnie zaprzęgano do nich konie, do podróży używano mułów lub wołów. Rzymianie znali rozmaite rodzaje wozów: tryumfalne, wyścigowe, gospodarskie, podróżne i wozy dla kobiet przeznaczone. Patrycyusze starali się mieć kosztowne wozy złocone, rzeźbione lub wykładane perłową masą i kością słoniową.

Historycy rzymscy wspominają, że Scytowie zamiast namiotów mieli kryte wozy, w których sypiali: zwyczaj ten musiał istnieć u wszystkich koczowniczych narodów. W bitwach wozy służyły jako wały obronne i powiązane z sobą chroniły obóz od najazdu. Ten rodzaj obrony przetrwał wiele stuleci, Hussyci posługiwali się nim nader zręcznie, tak samo u nas był w użyciu podczas wojen tureckich i jeszcze w XVII w. hetman Żółkiewski za pomocą taboru zasłaniał swój odwrót pod Cecorą.

Za Merowingów, we Francyi, tylko królowie mieli prawo używać czterokołowych wozów zaprzężonych w woły; w XIII-ym w. Ludwik Piękny nadał damom dworskim przewilej jeżdżenia wozem Do zaprzęgu chętniej używano wołów niż koni i jeszcze w XV w. cesarz Fryderyk III objeżdżał swoje państwo wozem zaprzężonym w woły.

Zawsze jednak najchętniej jeżdżono konno i w r. 1540 tylko dwie osoby w Paryżu, prócz króla i dworu, posługiwały się pojazdami: pewien szlachcic, który dla otyłości nie mógł dosiąść konia, i podeszła jakaś księżna. Pierwsze dorożki pojawiły się dopiero w roku 1651, resory zaś zamiast pasów wprowadzono w 18 wieku.

Praktyczne rady.

— **Leczenie reumatyzmu.** Według jednego z angielskich lekarzy, gotowane selery mają być nietylko doskonałem lekarstwem na reumatyzm, ale nawet zapobiegają rozwinięciu się tej choroby. Można używać ich dwojako: albo pokrajane na kawałki i gotowane z mlekiem i mąką, albo też jako odwar z gotowanych selerów. Wspomniany lekarz kilkakrotnie próbował tej kuracyi i zawsze z pomyślnym skutkiem; utrzymuje on, że zimno i wilgoć, choć przyczyniają się do rozwinięcia reumatyzmu, nie są jednak właściwem powodem tej choroby, ale krew zbyt gęsta i pozbawiona alkaliów, których własnie dostarczają jej selery.

— **Czyszczenie ram i obrazów.** Obrazy olejne nigdy nie powinne być czyszczone wodą z mydłem, daleko lepszy jest następujący środek: Wyjąć z ram płótno i przykryć czystą ściereczką, zmaczaną w wodzie deszczowej; powtarzać to kilkakrotnie, aż wszelki brud i kurz zostanie usunięty. Wtedy delikatnie przeciągnąć po powierzchni płótna watą zwilżoną w oleju lnianym; obraz będzie wyglądał jak nowy. Ramy złocone najlepiej natrzeć soczystą cebulą przekrajaną na dwoje, a po dwóch godzinach obmyć je gąbką zmaczaną w wodzie deszczowej i wysuszyć miękiem płótnem.

— **Naprawa rozdarcia.** Cera choćby najstaranniejsza zawsze się odznacza, łata jest jeszcze gorsza, a tymczasem żal rzucić dobre ubranie, które przypadkiem się rozdarło. Podajemy tu następujący sposób naprawiania rozdartej odzieży, używany przez krawców londyńskich. Bierze się cienki listek gutaperki, przykłada go się na lewą stronę dziury, i zbliżywszy oba jej brzegi, przesuwa się po niej gorącem żelazem. Gutaperka rozpuszcza się pod wpływem ciepła i łączy ściśle miejsca rozdarte, tak, że najwprawniejsze oko nie pozna uszkodzenia.

Rozmaitości.

* **Mitrydates** król Pontu przez stopniowe zażywanie trucizn doszedł do tego, że najgwałtowniejsza trucizna nic mu nie szkodziła, z tej strony mógł zatem być spokojny o swoje życie. Kiedy po nieszczęśliwej wojnie z Rzymianami groziła mu niewola, chciał jej uniknąć przez samobójstwo, ale trucizna, którą zażył nie działała wcale; wtedy ugodził się mieczem, ale także bez skutku i dopiero żołnierz jeden, na jego prośbę zadał mu cios śmiertelny.

* **Zdawałoby** się, że pociągi kolei okute w żelazo, pędzące z błyskawiczną szybkością po szynach żelaznych, powinnyby ściągać pioruny; tymczasem nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby piorun uderzył w pociąg, pomimo że znajdują się one nieraz w samem ognisku burzy tak, że z kół wyskakują iskry. Pochodzi to ztąd, że szyny w skutek wilgoci zawartej w powietrzu, stanowią naturalne piorunochrony, przez które prąd elektryczny spływa z łatwością do ziemi.

* **Wół**, gdyby mu pozwolono umrzeć śmiercią naturalną, nie dożyłby nawet lat 30. Koń w największych wygodach nie żyje dłużej jak lat 25; osieł tak samo. Rzadko który pies dojdzie lat 20, a kot 15-letni byłby szczególnem zjawiskiem. Nierogacizna nie żyje dłużej nad lat 20, kozy i owce dochodzą niekiedy do 15; królik w 10-tym roku życia jest zgrzybiały.

* **Badania** wody morskiej dokonane przez uczonych przekonały, że w morzu znajduje się wielka ilość srebra, a mianowicie jedna setnomilionowa wagi wody morskiej; jest to wiele więcej niż dotąd zdołano wydobyć tego kruszczu z ziemi. Na nieszczęście, koszta otrzymania sre-

bra z wody morskiej byłyby tak wielkie, że przeniosłyby jego wartość.

* **Oczy kota** są w ten sposób zbudowane, że widzą równie dobrze we dnie jak w nocy; źrenice ich mogą się rozszerzać w ciemności, tak, że stają się okrągłe, kiedy pod wpływem światła zwężają się i przybierają kształt podłużny. Pod tym względem koty mają wyższość nad innemi zwierzętami, których źrenice pozbawione są tej własności.

* **Kiedy hiszpanie** odkryli południową Amerykę, nie było tam zwierząt, któreby odpowiadały owcom europejskim, za to w Peruwii i w Andach krajowcy chowali wielką ilość zwierząt zwanych lama, alpace, guanaco i vicuna, które im zastępowały owce. Pierwsze dwa gatunki rzadko teraz można spotkać w dzikim stanie; są one domowemi zwierzętami i różnią się tem od dwóch pozostałych, że sierć ich bywa rozmaitej barwy, a często jest centkowana, kiedy guanaco i vicuna są zwykle jednolitego koloru, czerwonawo-brunatnego.

* **Lapończycy** powoli wymierają w Europie, tak, że obecnie liczą ich tylko 30,000. Z tego 20,000 mieszka w Norwegii, gdzie mają lepsze ekonomiczne warunki, reszta zaś na północy Rosyi. Podobny przykład wymierania ras widzimy także w Ameryce północnej, gdzie liczba czerwono-skórych pierwotnych jej mieszkańców, indyan, wciąż się zmniejsza, wypierana przez białą ludność.

* **Murzyni** nietylko że jedzą mięso krokodylów, ale jeszcze hodują je w tym celu. Stanley pisze, że w Lukoleta, w wyższem Kongo, hodowla krokodylów uważana jest za nader korzystny interes. Krajowcy wyszukują miejsca, gdzie gnieżdżą się krokodyle i, zabrawszy jaja, zagrzebują je w piasku. Skoro małe się wylęgną, przenoszą je do stawu pokrytego siatką, tuczą i hodują, a skoro dojdą do pewnej wagi, sprzedają je na targu.

* **Chcąc zmierzyć** wysokość fal morskich, trzeba je śledzić z wierzchołka masztów, kiedy się podnoszą. Otóż dotąd najwyższe bałwany jakie zauważono, nie przechodziły 13 do 15 metrów wysokości. Tymczasem jeden z marynarzy angielskich, który oddawał się pilnie obserwacyom nad niemi, widział podczas burzy koło przylądka Horn na pełnym oceanie, fale morskie, które dosięgały wysokości 20 metrów, kiedy długość ich wynosiła od 230 do 240 metrów.

* **Pelikany**, jak wiadomo, mają poniżej dzioba rodzaj dużego worka, który się daje rozciągać; tam chowają one złowione ryby. Worki te, zwane przez marynarzy blagues (wyraz pochodzący od angielskiego słowa bag, worek), służyły im do przechowywania tytuniu. Niektórzy handlarze fałszowali je, sprzedając zamiast worków pelikanowych, zwyczajne pęcherze. Ztąd powstało wyrażenie blaga, którym oznaczamy nietylko oszustwo, ale wszelkie przechwałki i fanfaronadę dążącą do zamydlenia ludziom oczu.

ŻARTY.

Żona: Nie wiem co dziś gotować na obiad.

Mąż: Poradź się twojej książki kucharskiej.

Żona: Ach tam zawsze stoi bierze się, bierze.... lecz o tem zkąd brać, ani słowa.

Nauczyciel: Jeżeli ojciec twój pożyczył 1000 marek, z warunkiem oddania ich w czterech równych ratach rocznych, ile winien będzie jeszcze po trzech latach?

Uczeń: Tysiąc marek.

Nauczyciel: Ależ chłopcze, ty nie znasz najpierwszych zasad arytmetyki.

Uczeń: Być może, lecz znam mego tatę.

Pewien lekarz chcąc sobie skrócić podróż do chorego polowaniem, wziął strzelbę. Po drodze spotyka go znajomy i pyta, gdzie idzie.

— Do chorego.

— Czy boisz się go chybić?

Do apteki przychodzi biedak po lekarstwo.

— Jak często mam to zażywać? — pyta aptekarza.

— Trzy razy dziennie, po każdem jedzeniu.

— A jeżeli jadam raz tylko na dwa dni?...

Rozwiązanie zagadek z Nr. 7 „Światła".

1.

Jeżeli wolność czuć i kochać umiesz,
W naszej rozmowie nie potrzeba słowa.
Ja twe westchnienie, ty me łzy rozumiesz,
I dłoń uściśniesz, oto polska mowa.

2.

Trzech, którzy szli „gęsiego" za sobą.

3.

A	**K**	r	a	k	ó	w
B	C	**O**	p	p	o	t
C	K	o	**Ł**	a	n	o
D	G	a	w	**Ę**	d	a
E	S	z	p	a	**D**	a
F	P	o	l	s	k	**A**

Wszystkie trzy zagadki dobrze odgadli: Łukasz Wallis z Rozbarku, Emanuel Pietruszka z Bytomia, Marya Gardecka z Dolska, Marya Szafraniec z Średnich Łagiewnik.

Drugą i trzecią dobrze, a pierwszą częściowo odgadli: Józef Grycz z Langendreer 4 słowa, Józef Lazar z Brzesc p. Mizerowem 6 słów, Antoni Andrzejowski z Rudy 6 słów, Jadwisia Nowakowska z Kopaczewa 6 słów, Felisia Wiśniewska z Czacza 6 słów, Maryan Niemierkiewicz z Środy 5 słów, Antoni Tomaszewski z Ślachcina 6 słów, A. Marcinkowski z Pleszewa 5 słów, Janinka Szałkowska z Inowrocławia 6 słów, Piotrowski z Skarlina 6 słów, Paweł Chodzidło z Polskiej Wisły 5 słów, Franciszek Nierzwicki z Więcków 6 słów.

Drugą i trzecią odgadli dobrze: Ant. Brachmański z Pszowa, F. Strzelczyk z Bytomia G.-Szl., N. Gręźlikowski z Wierzchucina (na Pomorzu), Jerzy Adamczyk z Biertułtów, Wal. Rygus z Nielęgowa p. Kościanem, Józef Chudziński z Witten n. Rynem, Jan Jurciński z Wełnowca, Bern. Świeczkowski z Więckowa, Jan Badura z Roździenia, Konstanty Lamperski z Szpandawy, Paweł Gorzelik z Szombierki, Jakob Bieszk z Sombrowa (Zach. Prusy), S. Nowacki z Reklina, W. Trzeciak z Czempina, W. Klausa z Katowic, Ignacy Korpok z Chropaczowa, Jan Werner z Lipin, Jerzy Adamczyk z Biertułtów, Michał Nita z Złotej (Galicya), Józef Stróżyński z Środy, Szymon Czypionka z Burowca, Franciszek Binerowski z Tymawy (Zach. Prusy), Jan Burek z Halemby, Alojzy Majowski z Bogucic, S. Samoliński z Mogilna, Teofila Wi-

dera z Lidzbarku (Prusy Zach.), Piotr Heda z Ligoty, Hipolita Strycharska z Krakowa, A. Domański z Dobrcza, Zygmunt Szulc z Gniezna, Elżbieta Grześkowiak z Sulmierzyc, Janina Cerkaska z Palędzia kościelnego, Cecylia Sebel z Ligoty, T. Sikorski z Golejewka, Mieczysław Politowicz z Chorynia, Karól Bródka z Szelic, Marya Pasternak z Bytomia, Antoni Wicik z Przełajki, Jan Czogała z Miejskiego Szarleja, Antoni Waranka z Wybranówki (Galicya), p. Malińska z Konar, Ignacy Kędzierski z Paruszewa, Henryk Ciemięga z Katowic, Józef Knopp z Zabrza, Jędrzej Kawa z Biadolin, H. i S. Herbst, Jan Litwinski z Brzuszcz, Wilhelm Grzegorzyca z Średnich Łagiewnik i Bronisław Drygas z Fuldy.

Trzecią odgadli dobrze: Antoni Michalik z Król Huty, Karol Zych z Niepołomic, Helena z nad Dąbroczni, Wawrzyniec Bułka z Glinic, Jan Cieślak z Jeżyc, Bolesław Marchlewski z Poznania, Anzelm Borys z Zołężskiej Hołdy, Julianna Pietraś z Rudy, Fr. Smykała z Zaborza B.

Przy losowaniu otrzymali nagrody: (12 m.) Łukasz Wallis z Rozbarku, (8 m.) Emanuel Pietruszka z Bytomia, (4 m.) Marya Szafraniec z Śred. Łagiewnik, (4 m.) Janinka Szałkowska z Inowrocławia, (4 m.) Franciszek Nierzwicki z Więcków, i Marya Gardecka (z Niwy Śląskiej.)



1. Pan majster z majstrową wyszli na miasto, a uczeń Franek piastuje dziecko. Ponieważ jednak zajęty jest paleniem cygara, przeto dziecku korek z ustek wypadł i dziecko płacze.



2. Franek stara się je uciszyć, a przytem cygaro mu z rąk wypada.



3. Nie chcąc dziecka opuścić, przytrzymuje je Franek jedną ręką i schyla się ku ziemi, i maca w około, szukając korka.



4. Zamiast korka, podniósł cygaro, ale nie chcąc się po raz drugi schylić, wkłada dziecku cygaro w buzię. O łotrzyk, nie ujdzie kary, gdy majster z majstrową wrócą a poczują.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.